Zeszyt podwójny, cena 80 gr.

ROK VIII. PAŹDZIERNIK—LISTOPAD 1927. Nr. 8—9.

Wyleć ptakiem z swego gniazda,
Miłać będzie taka jazda.

W. POL.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



PRZY DRODZE. OKOLICE KIELC.

TADEUSZ SEWERYN.

O naszej wystawie.

Rzućmy okiem wstecz. W Zielone Świątki oglądaliśmy w Krakowie ciekawą wystawę krajoznawczą. Była to pierwsza wystawa prac młodzieży, zorganizowanej w Kołach Krajozn., dopiero zalążek tego, co w przyszłości młodzi krajoznawcy dać mogą. Ponieważ na Zjeździe delegatów Kół padły słowa życzenia, aby Rada K. K. M. co roku organizowała podobne zjazdy, połączone z wystawami krajoznawczemi, zastanówmy się nad sposobami urządzenia pokazów naszych prac, aby obrazowały przejrzyście i planowo całokształt dróg i dróżek naszych wysiłków krajoznawczych.

Wystawa nasza podobała się naogół, a naszemu patronowi prof. Węgrzynowiczowi rosło serce na widok tych skromnych fotografij, rysunków, malowideł, modeli oraz oryginalnych okazów krajoznawczych, z których biła młodzieńcza energja i ruchliwość, zapał i umiłowanie ojczystych rzeczy. Ponieważ jest to dopiero siew pod przyszłe plony, uczmy się więc na pierwszych dobrze postawionych krokach, jak i różnych brakach i błędach tej pierwszej wystawy, bo „exempla trahunt".

Celem naszej wystawy krajoznawczej powinno być przedstawienie w plastycznych kształtach wszystkich wyników samodzielnej i różnorodnej pracy Kół Krajoznawczych. Zadaniom tym rie wszystkie Koła odpowiedziały. Na podstawie sprawozdań z działalności organizacyj krajoznawczych, drukowanych poprzednio w „Orlim Locie", spodziewać się należało, że ów przegląd pracy młodzieży, jaki oglądaliśmy w Krakowie, będzie bogatszy i wielostronniejszy. Była to wystawa o wybitnej przewadze etnografji, która wiadomo, należy do krajoznawstwa, ale w żadnym razie nie może wypełnić jego całkowitej treści. Nie można się zgodzić z twierdzeniami, że to jest najłatwiejszy teren pracy, zatem młodzież, idąc po linji najmniejszego oporu, oddaje mu się najchętniej. To są głosy zbyt jednostronne. Wiem bowiem dobrze i Wy, Kochani, wiecie również, ile trudu kosztowało Was przebieganie wsi za wsią, chaty za chatą, myszkowanie po strychach, komorach i oborach, aby zebrać, zgrupować i opracować nie na podstawie książek, ale własnej obserwacji, jakikolwiek fragment z materjalnej kultury ludowej. Z pracy Waszej, Kochani Przyjaciele, korzysta dziś nauka i muzea etnograficzne, które cennemi zbiorami zasilacie — dlatego nie dajcie sobie ostudzić zapału do umiłowanego przez Was kierunku pracy.

A jednak... czy nie uważacie za potrzebne, aby na przyszłość pokazać na wystawie, że Was interesował nietylko lud wiejski i wytwory jego rąk, ale i cudna roślinność łąk, jezior i zagajników, lasy aromatem tchnące i przyrodnicze warunki, dające możność rozwoju roślinnej szacie, systemat wód Waszych okolic, owady i zwierzęta, życie miasta, kopalń i fabryk, oglądanych Waszemi oczyma — i tyle, tyle innych, ciekawych światów, które naprawdę nie mogą i nie są Wam obojętne? Słowem na następnej wystawie naszej powinno być więcej dowodów na to, że młode oczy widzą całe bogactwo naszego kraju, a nietylko jego cząstkę, że młode umysły poświęcają się również przyrodniczym i geograficznym badaniom. Jakżeż chętnie widzielibyśmy na przyszłej wystawie pokazy socjologji roślin na podstawie zespołów roślinności stawu,

wzgórza, niziny, piasków i t. d. obrazy biologji owadu, entomologiczne zbiory pewnej okolicy, zbiór gniazd ptasich, fotografje ptaków podczas zdobywania pokarmu, karmienia i t. p.

Ale wróćmy do naszej wystawy w Krakowie! Jedno Koło wystawiło część swych zbiorów geologicznych. Jaka szkoda, że nie pokazało swego pięknie opracowanego geologicznego przekroju okolicy siedziby Koła, który oglądaliśmy na wystawie w Warszawie! Byłby to przykład plastyczny przedstawiania geologicznych badań.

Inne Koło dało kilka sumiennych rysunków zasiągu pewnego lasu, biegu rzeki i źródeł rozlewających się w okolicy siedziby Koła. O ileż lepiej spełniłyby swą rolę te mapki, gdyby uzupełniały je zbiory geologiczne, florystyczne i faunistyczne, odnoszące się do miejsc, przedstawionych graficznle.

Pewne znów Koło rozwiesiło na ścianie duże, niezwykle pracowicie wykonane mapy sporych obszarów Polski, na których znakowane były linjami wycieczki, wykonane przez to Koło. Były to prace odtwórcze i mechaniczne — tymczasem nam chodzić winno o samodzielność wysiłku kształcącego. Wszelkie mnisie ślęczenie nad pulpitem ustąpić winno miejsca świeżemu, radosnemu, bezpośredniemu obcowaniu z życiem. Stąd to szkic planu miasta ze szczytu wieży lub jeziora z wysokości nadbrzeżnej sosny poczestniejsze zajmuje miejsce w naszej krajoznawczej pracy, niż znojne i pilne przekalkowywanie lub benedyktyńskie skrobanie palimpsestu.

Widzieliśmy na wystawie szereg malowanych parzenic góralskich, Czy sądzicie, że był to materjał, zebrany na wycieczkach do górskich wsi? Nie. Były to uczniowskie, szkolne „kompozycje na motywach ludowych“, zatem rzeczy, które z krajoznawstwem nic nie mają wspólnego. Oglądaliśmy pewien zbiór ludowych haftów, rysowanych ołówkiem, gdy tymczasem połowa waloru artystycznego tych okazów zależała właśnie od barwy. Przykładów podobnych możnaby wymienić więcej.

Przejdźmy do innej sprawy. Każde Koło powinno nakreślić sobie pewien geograficzny teren, na którym pracuje i to, zgodnie z wymogami ekonomji czasu i energji, teren, leżący w pobliżu lub w okolicy siedziby Koła. Niechże więc na wystawie reprezentowane będą Koła terytorjalnie, bo właśnie tylko tym sposobem wprowadzi się na wystawę pożądaną różnorodność tematową. Nie uważamy więc za celowe, aby Koło, które wcale nie ma siedziby ani w Krakowie, ani w Pińskich Błotach, ani na Huculszczyźnie, najwięcej jeśli chodzi o ilość fotografji poświęcało na wystawie miejsca Krakowowi, Polesiu i Pokuciu. Niechże każde Koło „czyni w swem kółku“...

Rozkładowi eksponatów i zakomponowaniu całości wystawy baczną trzeba poświęcić uwagę. Wszystko musi tu być przemyślane w szczegółach i ogóle — nic przypadkowego, coby przypominało rupieciarnię lub magazyn. O takim planowym rozkładzie nie można było myśleć w Krakowie, bo cały spryt trzeba było wytężyć tylko na to, aby za pomocą spinaczów rozwiesić pionowo, niczem ręczniki, szeregi fotografij i rysunków. W warunkach, gdy wbijanie gwoździków lub szpilek w ścianę było zabronione, trudno było planować estetyczne, plastyczne i metodyczne obrazowanie grup i całości. Mimo to znalazły się na wystawie szczęśliwe pomysły dekoracyjnego układu eksponatów. Oto jedno

Koło umieściło w środku swej „parceli“ duży rysunek z dwoma obrzędowemi postaciami, a obok na skrzydłach szeregi fotografij, zgrupowane w równe prostokąty. Efekt był dobry. Inne Koło obramiło swe eksponaty podwójnym pasem ludowych wycinanek. I ten pomysł był dobry i spełnił swe zadanie, gdyż dawał obraz zwarty pod względem dekoracyjnym. — Ważną rolę odgrywa barwa papieru, na którym nalepia się rysunek lub fotografję, aby wyraziściej i estetyczniej przedstawiała się dla oka. Widzieliśmy na wystawie szereg malowideł skrzyń i pejzażów, nalepiony na papierze jaskrawie różowym. Oczywiście, że z pewnej odległości silniej w oczy rzucało się samo tło, niż temat rysunku lub malowidła. Tego należy unikać. Co do fotografij nieprawdą jest, jakoby szary lub bronzowy papier najlepiej nadawał się na tło. Równie dobrze, a nawet z lepszym skutkiem zastosować tu można odpowiedni gatunek i ton białego papieru.

W powyższych uwagach nie tyle chodziło mi o krytykę, ile o kilka życzliwych słów dorady, aby na przyszłej wystawie, która ma odbyć się w Poznaniu, wystąpić z lepszym dorobkiem naszych plonów. Obowiązkiem bowiem naszym jest z roku na rok coraz lepiej służyć idei, która łączy nas w jedną rodzinę, rozsianą po rozległych obszarach Rzeczypospolitej — idei miłości ojczystej ziemi.

Zeszyt ten wypełnili członkowie Koła Krajoznawczego Seminarjum Nauczycielskiego w Kielcach.

MARJAN KASPRZYCKI (Kielce, Seminarjum m. Kurs V-ty).

Wspomnienia z wakacyjnej wędrówki.

(Dokończenie).

Opuszczamy cmentarz w głębokiej zadumie, udajemy się na stację, orjentujemy się w rozkładzie jazdy kolei i kolejek, modyfikujemy plan naszej wycieczki i następnego dnia po niedoopisania smacznie przespanej nocy, rozpoczynamy właściwą wędrówkę,

Dojeżdżamy do niedużej stacyjki — Niemen — położonej na prawym brzegu rzeki, w stronę której kierujemy się już naprawdę pieszo. Dochodząc do miejsca, gdzie przystaje prom, zwracamy na siebie uwagę staruszka o szlachetnym wyrazie twarzy, który też w zamiarze przeprawienia się na drugi brzeg rzeki, czekał ze swą jednokonną kolaską, o charakterystycznym łuku spinającym dyszle, t. zw. „duga“. Zaczyna się rozmowa; staruszek z ciekawością słucha naszych projektów, służy radą i wreszcie obiecuje zabrać nas i podwieźć kilka kilometrów.

W obawie, że ta przyjemność może znacznie zmniejszyć zasoby naszej „skromnej“ kasy, dziękujemy za gotowość, ale staruszek nie pozwala nam się wymówić. Każe kłaść plecaki, „a za drogę — oświadcza — będzie mi się należeć jedno tylko słowo: dziękuję“.

Byliśmy zdziwieni. — Nie dając się długo prosić, po przeprawieniu promem (mogącym pomieścić kilkanaście fur, wraz z końmi i ludźmi) na drugi brzeg rzeki „rozsiedliśmy“ się w kolasce i poprzez piachy i lasy nadniemeńskie dojechaliśmy, jak się okazało, do Kamionki, fol-

warczku naszego dobroczyńcy. I tu po raz pierwszy spotkaliśmy się z prawdziwie staropolską, bezinteresowną gościnnością i życzliwością. Zatrzymani, po dość długim odpoczynku i serdecznem przyjęciu, wyruszyliśmy w dalszą drogę przez lasy, a pod wieczór stanęliśmy w Niehrymowie, cichym, spokojnym, miłym — jak i jego mieszkańcy — uwiecznionym w „Panu Tadeuszu“ polskim dworku. Tutaj znowu ta serdeczna, prawdziwie polska gościnność i życzliwość.

Nazajutrz popołudniu (3 lipca) wypoczęci pełni nowych sił i ochoty do dalszej wycieczki, pożegnaliśmy gościnny Niehrymów i wstępując do mniej okazałego, zniszczonego przez najazdy bolszewickie, dworku pp. Podhajskich, ruszamy szerokim, piasczystym gościńcem „Katarzyny II“, do Nowogródka.

Słońce kończyło swą wędrówkę po nieboskłonie, rozmodlone dzwony grały pieśń wieczorną, kiedy wązką uliczką zbliżaliśmy się do nowogródzkiego rynku.

Piękny harmonijny śpiew „Hospody pomyłuj“ zatrzymuje nas parę minut w prawosławnej cerkwi, skąd już wprost idziemy szukać miejsca na zasłużony wypoczynek.

Zbieramy i rozpatrujemy opinje o hotelach nowogródzkich; według „średniej arytmetycznej“ wypada, że najczystszy, najhigjeniczniejszy, najlepszy. naj... i t. d. (nam się głównie rozchodziło o najtańszy) — jest Kijowski.

Zostawiamy więc tutaj plecaki — o znacznie już mniejszej zawartości — sami udajemy się do niezamkniętej jeszcze — na szczęście księgarni. Zaopatrujemy się w widokówki, przeglądamy pisma miejscowe, a potem, pióro w robocie: dajemy znać o sobie tym, którym pomyślność naszej wycieczki leży na sercu i tym, którym nie leży, konferujemy nad dalszym jej przebiegiem; wreszcie — „światła gasną“.

Śniąc o Świtezi i Świteziankach, budzimy się następnego dnia weseli, z „Kijowskiego“ wcale zadowoleni.

Po śniadaniu, zakończonem dość „pokaźną“ ilością — nadspodziewanie tanich, a niezwykle smacznych poziomek, udajemy się do kościoła... zwiedzamy farę i wdrapujemy się na górę Zamkową.

Dziwnie przemawiają do duszy te walące się resztki ruin. Przychodzą na myśl dawne świetne czasy zamku; pracuje wyobraźnia

...„Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi“...

— —

Popołudniu, obrzucani życzliwemi spojrzeniami nowogródzkiej inteligencji, ruszyliśmy w kierunku Świtezi...

...„Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło“, ciężyły bardziej niż kiedykolwiek plecaki i wprawione w rytmiczny ruch nogi, domagały się odpoczynku, kiedy dotarliśmy do okazałego dworku pp. Karpowiczów.

Przyjęci niemniej gościnnie jak w Niehrymowie, spędzamy noc w stodole, na świeżem, wonnem sianie, a o wschodzie słońca jesteśmy nad Switezią!

Niezapomniane chwile...

...Ogniem — zda się — czerwonym gore cała puszcza,
Szczyt boru purpurowym płaszczem się otula,
Niebo płonie jak pożar. Aż ognista kula
Weszła na bór. Rakietę złotych strzał wypuszcza.

I Świteż purpurową falą się rozpluszcza
Rzekłbyś — ogień po wodzie, jak po stepie, hula,
Srebrne mgły — jak płonąca zdają się koszula —
I drży serce każdego nadbrzeżnego kuszcza.

W wyżyny płynie zorza. Łuna krwi zagasa,
Płomienno złotym kręgiem zajaśniało słońce
I wszystkie rzeczy złoci jego krasa.

A oto wielką tarczą w głębinach się pali
Drugie słońce — i w każdym kędziorze wód fali —
Rozpryskuje się w drobnych — złotych słońc tysiące*).

— A w borze uroczysta, niczem niezamącona — majestatyczna — cisza.

Z niewysłowioną rozkoszą wodzimy wzrokiem po mieniącej się tysiącem barw, gładkiej, zwierciadlanej tafli jeziora, otulonego wiecznie zieloną puszczą.

Nie można nasycić oczu; tyle tu czaru, uroku — piękna.

Odruchowo, prawie bezwiednie szepcą usta: „Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie“...

— —

Jakaś siła niepohamowana pcha nas w bór; obchodzimy w około Świteź, co nam zajmuie dobrą godzinę, spotykamy żydowską wycieczkę, która swym szwargotaniem psuje nastrój i niejedną nasuwa refleksję.

Kiedy słońce nad horyzontem zakreśliło połowę łuku, wracamy do Czombrowa. Z wyniosłego „Horodyszcza“, skąd jak na dłoni widać rozległe pola „malowane zbożem rozmaitem“ i skupione koło białych, wijących się dróg wsie, — ślemy ostatnie wyrazy pożegnania jezioru, a po paru godzinach i „Stacji Głównej“**), która w skarbnicy naszych wspomnień zajęła sobie trwałe miejsce.

Udajemy się do Zaroja, przystanku kolejki wąskotorowej. Pod wieczór dojeżdżamy do Nowosielni, a ztąd już wprost do Wilna.

Bierzemy udział w Zjeździe Delegatów Sodalicyj Marjańskich uczniów szkół średnich w Polsce, zwiedzamy miasto i okolice (malownicze Werki i historyczne Troki) i 14-go dnia naszej wędrówki wracamy do domów z tem przeświadczeniem, że, jeśli się chce, można powiedzieć za Polem:

...„Byłem w Litwie i Koronie,
Byłem w tej i owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

---

*) A. Lange z cyklu „Nad Świtezią.

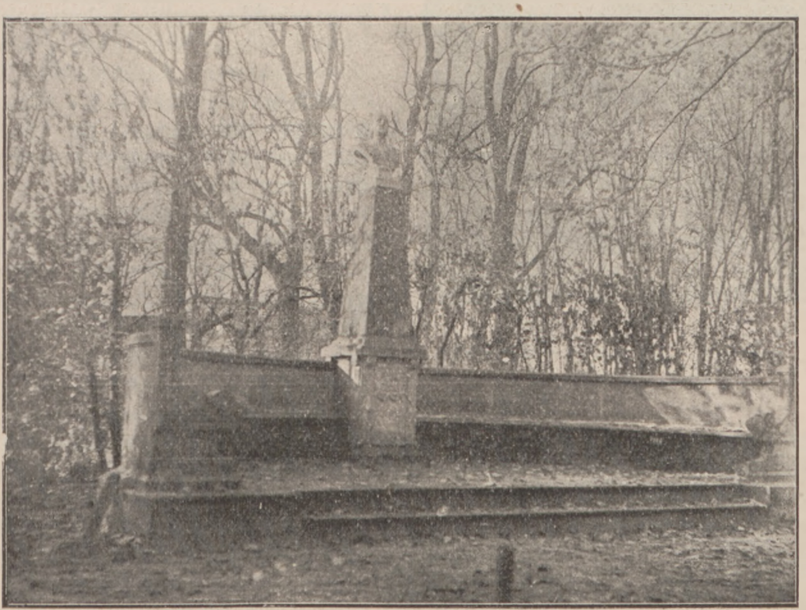
**) Tak się nazywa Czombrów, a to z tego względu, że każda wycieczka, która zdąża do Świtezi, ostatni raz tu się zatrzymuje.

BRYCH STANISŁAW (V Kurs).

Kielce.

Kielce leżą w górzystej, pięknej okolicy, na południe od głównego łańcucha gór Swiętokrzyskich, oddalone od niego o 13 km.

Główny grzbiet gór Świętokrzyskich z północy, a Kadzielniański łącznie z Dymińsko-Posłowickim pasmem z południa osłania obszerną, pełną łagodnych wzniesień dolinę; w północnej jej części, oraz na tarasowatym zboczu „Psich Górek“ rozłożyły się Kielce.



Fot. Cz. Dutkiewicz.

Kielce. Pomnik Staszica.

Rzeczka Silnica przepływa środkiem miasta, jako jego główny ściek, a zarazem niebezpieczny rozsadnik bakteryj chorobotwórczych. Miasto liczy obecnie przeszło 54 tys. mieszkańców i posiada około 100 ulic, z których najdłuższą jest ul. Sienkiewicza (1 km). Przy niej znajdują się większe sklepy, dwa kinoteatry, teatr, główniejsze hotele, oraz kilka cukierni, kawiarń i restauracyj. Ulice śródmieścia są wąskie i krzywe, natomiast w nowej części miasta wyglądają dość sympatycznie i nawet na przybyszach z prawdziwie europejskich ośrodków robią miłe wrażenie. Jednym z pięknych zakątków miasta jest park, wprawdzie nieduży, bo zaledwie kilkomorgowy, lecz pełen starych drzew i klombów kwiatowych, najpiękniejszy w pobliżu dużego stawu. Ta też część parku jest najbardziej urocza.

Od północnej strony ogrodu ciągną się resztki dawnego muru, okalającego niegdyś zamek biskupów krakowskich.



Fot. M. Pachalski.
Kielce. Katedra.

Największym i najwięcej pamiątek zawierającym kościołem jest katedra, zbudowana pierwotnie w stylu romańskim. Dziś przez przebudowanie zmieniona tak, że przedstawia mieszaninę różnych stylów. Znajdują się w niej malowidła i rzeźby XVI, XVII i XVIII wieku. Obok katedry stoi dzwonnica ze starym zegarem, który już od dwu wieków wybija całym pokoleniom Kielczan kwadranse i godziny.

Najstarszy kościół św. Wojciecha, pamiętający czasy Piastów, niegdyś drewniany, po pożarze przybrał już w trzeciej przemianie dzisiejszą postać.

Mały kościółek św. Trójcy jest bardzo dawno kościołem szkolnym uczniów szkół średnich. W nim modlili się jako uczniowie Adolf Dygasiński i Stefan Żeromski.

Nowy kościół św. Krzyża w r. 1910 założony nie jest jeszcze całkowicie wykończony.

Kielce posiadają 4 państwowe szkoły średnie: 2 gimnazja męskie, 1 żeńskie i seminarjum nauczycielskie męskie, oprócz tego prywatne seminarjum i gimnazjum żeńskie, koedukacyjną szkołę handlową, oraz prywatne gimnazjum męskie im św. Stanisława Kostki, nadto 4 szkoły powszechne 7-mioklasowe. 3-ech, 4-ech i 5-cioklasowych szkół powszechnych jest około 10.

Kielce są siedzibą województwa; mieści się w nich izba skarbowa i sąd okręgowy. Nadto posiadają 3 szpitale, kilka ochronek i przytułek dla starców, kalek i sierot.

Kielce mają możność stać się bardzo przemysłowem miastem. Obfitość kopalin, jak kamień wapienny, dający po wypaleniu najlepsze wapno, słynne marmury, ruda miedziana, oraz dobra glina do wyrobu cegieł, może zapewnić miastu rozwój przemysłowy.

Obecnie znajdują się w Kielcach 3 duże piece do wypalania wapna, 1 obrabiarnia marmurów, 2 fabryki odlewów żelaznych, jedna nawozów sztucznych, kilka tartaków prywatnych i rządowych, fabryka mydła i świec, dwa browary, dwie cegielnie i fabryka wódek.

Przemysł i handel w znacznej mierze jest w rękach żydowskich, od czasu jednak uzyskania niepodległości Polski powstało już kilka kooperatyw, ktore się rozwijają nader pomyślnie.

Od czasu wojny światowej Kielce bardzo zmieniły swój wygląd. Przybyło kilkadziesiąt ładnych kamienic, kilka wązkich starych ulic rozszerzono, zmieniono nie do poznania, przebudowano stację kolejową, nowe ulice wytyczono. Powstał też w tym czasie szereg instytucyj prywatnych i państwowych.

Z każdym rokiem datuje się znaczny przyrost ludności. W tym roku rozpocznie się praca przy zaprowadzaniu kanalizacji i wodociągów.

Za kilka lub kilkanaście lat Kielce będą ładnem, zdrowem miastem, mającem jaknajlepsze warunki szybkiego rozwoju, tembardziej, że leżą w uroczej i bogatej okolicy gór Świętokrzyskich.

Nie należy zapominać, że Kielce posiadają muzeum krajoznawcze.

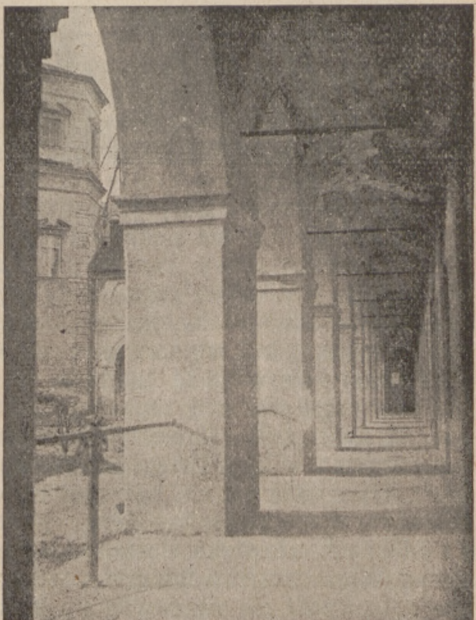
STANISŁAW MASŁOWSKI (V kurs).

Legenda o Perzowej górze.

Dwadzieścia dwa kilometry od Kielc w kierunku południowo-zachodnim stoi wysoka stożkowata góra, zwana powszechnie górą Perzową. Już z szosy Niewachlowskiej widzimy ją na horyzoncie, jako olbrzymi czarny kopiec. Zbocza jej są porośnięte młodym lasem. a na samym szczycie stoi kępa starych drzew. Tu wśród nich stoi kapliczka, w naturalnem zagłębieniu jednolitej skały granitowej umieszczona. Wejście do niej zamykają drewniane drzwi, z boku niewielką szczelinę zasłania mały daszek. Wewnątrz umieszczony jest wizerunek św. Rozalji, według wierzeń ludu cudowny. W kapliczce tej odprawiają się nabożeństwa; pielgrzymuje tu wtedy pobożny lud z okolicy. W pobliżu kapliczki sączy się maleńki strumyk, również mający cudowną moc. U podnóża góry rozciąga się mała, uboga wioska Hucisko. O tej kapliczce krąży wśród ludu następująca legenda:

Pewien ubogi starzec pasał na górze Perzowej woły, któremi uprawiał parę piasczystych zagonów, a czasem wyjeżdżał z niemi na zarobek. Na szczycie stał niegdyś klasztor, który przez jakieś zaklęcia zapadł się pod ziemię. Nocami ukazywały się tu straszne widma. Poczem słychać było chichoty szatańskie i cichy jęk dzwonów. Starzec ów był człowiekiem bardzo bogobojnym, często modlił się, więc przez niego Pan Bóg chciał ów zaklęty klasztor wybawić.

Razu pewnego starzec, strudzony czuwaniem nad swoim dobytkiem, położył się i zasnął, a woły poszły dalej. Gdy się obudził z przestrachem zobaczył, że mu zginęły. Strapiony począł ich szukać, lecz przez



Fot. Cz. Dutkiewicz.
Kielce. Krużganki zamku pobiskupiego.

trzy dni chodził daremnie. Wtem pod wieczór staje przed nim postać jasna cała w bieli: anioł zesłany przez Boga, który rzekł: — Starcze, woły twoje znajdą się zaraz, a ja tymczasem dam ci klucze od zaklętego klasztoru; uklękniesz na szczycie i będziesz się modlił, gdy ujrzysz klasztor wyłaniający się z ziemi, włożysz w zamek głównych drzwi klucze i tym sposobem wyratujesz go od zaklęcia. Po drodze będą cię kusili szatani pod różnemi postaciami, będą cię chcieli zabrać do złocistej karety, będą ci dawać dużo pieniędzy, lecz ty wytrwaj i nie upuść czasem kluczy na ziemię. Po tych słowach owa postać w bieli znikła. Starzec bez namysłu udał się we wskazane miejsce; po drodze, jako miał zapowiedziane, szatani w różny sposób mu przeszkadzali, lecz gdy ich przeżegnał, znikały złowrogie mary. I już klasztor wyłaniał się z ziemi, gdy przed starcem stanęła potworna żaba; z otwartej jej paszczy zionął ogień. Zadrżał na jej widok a klucze wypadły mu z ręki. Zjawił się szatan, natychmiast pochwycił klucze i umknął z chichotem. Klasztor zaś z szumem zapadł się powtórnie w ziemię. Ozwały się ciche jęki dzwonów, poczem ucichły. A na tem miejscu na pamiątkę tak dziwnego zdarzenia pozostała kamienna kapliczka św. Rozalji.

MUSIAŁ TADEUSZ (IV kurs).

Wycieczka do Samsonowa.

Wyjechaliśmy z Kielc pociągiem, który dowiózł nas do Zagnańska, małej stacyjki, kilkanaście kilometrów odległej od miasta. Czemprędzej zabieramy plecaki, wyskakujemy z wagonu i opuszczamy hałaśliwą stacyjkę. Pogoda była prześliczna. Promienne słońce, witało nas swym uśmiechem, wśród pól pokrytych bujną, majową zielonością. Srebrny głos skowronka budził na ustach naszych uśmiech szczęścia, jakiego zwykle doznaje człowiek, gdy po zimowej pracy nad książką znajdzie się nagle na łonie natury. Krajobraz okolic Zagnańska jest pagórkowaty. Niewielkie wzniesienia pokrywają piękne lasy państwowe. W dolinach rozlane szeroko stawy, zarosłe po brzegach tatarakiem, dodają uroku krajobrazowi. Wkrótce znaleźliśmy się przy jednym z nich. Brzeg w tym miejscu wysoki i suchy, zarosły lasem, z którego rozchodzi się dokoła zapach żywicy, był wymarzonem miejscem na odpoczynek i śniadanie. Rozkładamy się więc za zgodą p. nauczycielki i z wilczym apetytem zjadamy część naszych zapasów. Z brzegu roztaczał się wspaniały widok na zwierciadło stawu, od którego lekki wiaterek przynosił chłód i upragnioną wilgoć. Brzeg przeciwległy płaski, pokryty zielonością zbóż, gdzie tylko daleko na horyzoncie widać rozrzucone wioski, otulone gęstwiną drzew, a tylko dymy wznoszące się z kominów świadczą o siedliskach człowieka. Postanowiliśmy utrwalić na kliszy tak piękny krajobraz. Więc naczelny fotograf naszego „Kółka“ ustawił aparat tuż nad wodą i oddalił się na chwilę po klisze. Tymczasem ten lekki wiaterek, spłatał nam figla i zdmuchął aparat do wody. Gdyśmy przybiegli na ratunek, jeszcze tylko dwie nogi statywu wyglądały ze stawu. Aparat na szczęście okazał się nieuszkodzony, aby zaś prędzej wysechł, niósł

go nasz instruktor jak karabin na ramieniu strasząc nim dzieci wiejskie. Kilkaset kroków od brzegu rośnie prastary, olbrzymi dąb. Pień jego mógłby z łatwością pomieścić wewnątrz 10 osób, a aby go opasać, 7-miu naszych kolegów musiało wziąć się za ręce. Z trzech olbrzymich jego konarów pozostało tylko dwa, po trzecim, kilka metrów nad ziemią, widnieje wielka rana zagipsowana starannie. Stary musi być ten król lasów. Gdybyśmy, siadłszy pod drzewem, umieli słuchać poszumu jego liści, napewno wyśpiewałby nam całe dzieje Polski, jej wielkość i potęgę — niewolę i bohaterstwo.



Fot. Cz. Dutkiewicz.

Samsonów. Stara huta.

Nie mając dużo czasu ruszyliśmy do właściwego celu naszej wycieczki — Samsonowa. Cicha i spokojna dzisiaj wioska, posiadająca 500 mieszkańców i szkółkę gminną, rozbrzmiewała kiedyś hukiem młotów parowych, krzykami robotników. W roku 1598 włoski przemysłowiec Jan Caccio na zlecenie króla Zygmunta III wystawił tutaj hutę żelazną, w której przeważnie wyrabiano pałasze i strzelby. Dopiero biskup Sołtyk zmienił jej przeznaczenie, przerobiono piec i zaczęto odlewać naczynia domowe, walce, kowadła i t. p. W roku 1811 przerabiano tygodniowo około 150 centnarów surowca na odlewy żelazne. Dziś już tylko ruiny pozostały z dawnej świetnej przeszłości.

Gdy śpiewając zbliżaliśmy się do Samsonowa, rzucił nam się odrazu w oczy nizki, gruby komin, a potem reszta murów, stojących dzisiaj na uboczu jakby odsunięta od wsi. Cicho i pusto tutaj. Tylko od czasu do czasu przeleci kawka, napełniając powietrze niemiłem krakaniem i jak duch znika gdzieś w szczelinie muru. Widocznie

dawno już przestały huczeć młoty fabryczne, bo wszystko zarośnięte bujną trawą i chwastami, a gdzieniegdzie na murach wybujały smukłe brzozy, strojąc szare mury w zieloną szatę.

Ponieważ nasz aparat doskonale funkcjonuje po „nadzwyczajnej kąpieli“, umieszczamy na kliszy najładniejszy fragment ruin i śpiewając opuszczamy Samsonów, który dostarczył nam tyle miłych i pożytecznych wrażeń.



Fot. Cz. Dutkiewicz.

Samsonów. Nad stawem.

EDWARD JUSZCZYK (kurs II).

Na „Czerwoną górę“.

Było to w piękny majowy dzień, na ostatnią lekcję wszedł do klasy p. prof. i oznajmił: — Chłopcy jutro wycieczka... zebrać się na stacji o godzinie czwartej! — W klasie zaczęło się, jak zwykle w takich wypadkach „zamieszanie“. — Klasa! jedziemy! jedziemy! — krzyczeli wszyscy.

Nazajutrz rano dążyłem na stację, tu zastałem już prawie wszystkich kolegów i p. profesora. Czekamy na pociąg...

— Kielce — krzyczy nagle konduktor. — Wsiadamy do wagonu... pociąg rusza... mijamy ostatnie domy stacyjne i przedmieście... Pociąg rwie całą siłą pary. Przez okna wagonu mijają rozległe łąki. Pogoda prześliczna... Sitkówka... wysiadamy... Teraz pieszo musimy iść do Bolechowic.

Polną drożyną pchają się chłopcy seminarzyści. Słońce weszło już dość wysoko i kąpało złotem: łąki i pola mieniły się tęczą. Łany żyta i pszenicy, mokre od rosy błyszczały cudnie... cisza i spokój wśród pól, przerywane tylko wesołą rozmową „wycieczkowiczów". Nareszcie jesteśmy na górze „Bolechowickiej", przed nami wieś, otulona zielenią sadów, w dali siniejące główne pasmo gór Świętokrzyskich...

— Panie profesorze! a ta góra tam jak się zwie? — Zelejowa — odpowiada pan profesor.



Na Czerwonej Górze.

Piękny jest widok kopalni marmurów Bolechowickich, skały ułożone warstwami, skośnie, a na ziemi leżą olbrzymie bloki marmurowe, zdaje się odłupane przez olbrzymów, a to kamieniarz w pocie czoła tu pracował... Z kopalni idziemy miedzą do wsi, tu pod cienistą gruszą siadamy, każdy wyciąga z plecaka śniadanie i wśród wesołych śmiechów znikają w żołądkach kawa i chleb z masłem.

W godzinę potem byliśmy już w lesie „Czerwonogórskim". Stał cichy i milczący, śnił ogrzany słońcem majowem, jeno wilgi pogwizdywały, a w głębi kukała kukułka... Pod drzewami to już prawdziwe cuda... na zielonym kobiercu traw i mchów śliczne białe zawilce, złociste jaskry i fjołki — kochanki natury, zapach ziół i kwiatów, aż upaja i bije rozkosznie w nozdrza. Rozbiegliśmy się po lesie, a każdy zbiera zioła do teczki lub je „określa".

Od czasu do czasu słychać wesołe pokrzykiwania. Nadeszło południe. Słońce paliło; w lesie zrobiło się parno. Niebo zmętniało, słychać było daleki huk... gromu, zbliżała się burza. Nim pomyśleliśmy o jakiem schronieniu, lunął rzęsisty deszcz, niosąc orzeźwienie roślinom. Zmokliśmy porządnie to prawda, no, ale „deszczyk majowy chłopakom na głowy“... Wesoło wracaliśmy na Słowik. Była już trzecia po południu, gdy pociąg sapiąc i wyrzucając kłęby dymu wtoczył się na stację... Pakujemy się do wagonów... dumni, że byliśmy na takiej „zacnej“ wycieczce.

Na drugi dzień, siedzieliśmy w klasie wśród szarych ścian, wspominając wczorajszy miły dzień.

JÓZEF POSTUŁA.

Góry Świętokrzyskie.

Kto zna lub widział góry Świętokrzyskie, ten przyzna, że bardzo silnie oddziałują na psychikę ludzką. Malarz zachwyca się pięknemi widokami. Poeta znajdzie tu ustronne zacisze, gdzie może dumać i marzyć, lub dzikie ostępy przejmujące zgrozą. Lud zżył się z pięknem gór i nie odczuwa go. Najczęściej pogrąża się w zadumie nad swą ciężką dolą. To też starzy wieśniacy są najczęściej zamknięci w sobie i zadumani. Bo też przeżyli wiele biedy, pracując na paru nieurodzajnych zagonach, położonych albo na stromej, jałowej pochyłości wzgórza, gdzie zasadniczo plon nie wynagradza pracy, lub w podmokłej dolinie, skąd w razie mokrego roku nic nie zbierze. Wskutek takich warunków wioski, zwłaszcza między Bodzentynem a Kielcami, są obrazem nędzy. Trudno o polepszenie tego stanu, bo żaden z drobnych właścicieli rolnych nie może się zdobyć na kupno ulepszonych narzędzi rolniczych ani na stosowanie nawozów sztucznych. Więc też często słyszy się zdania: „Biednemu zawsze wiatr w oczy“. — Niejednokrotnie litość bierze na widok niewiarygodnie prymitywnych narzędzi rolniczych, jak starożytna socha, zaprzężona w krowę, która wraz z paru kurami i prosiakiem stanowi cały inwentarz żywy w gospodarstwie świętokrzyskiego chłopa.

Ale pesymizm, rodzący się łatwo w tych warunkach, jest właściwy tylko starym i przepracowanym. Młodzież natomiast cieszy się życiem, tańczy oberki i polki niemal w każdą niedzielę, nim ją wcześniej czy później nie złamie życie. Tu i ówdzie rozwija się przemysł domowy. Wyrabiają wrzeciona, drewniane zabawki, miarki, przetaki, gonty, kleszczyny bukowe do chomont i wiele innych.

Na resztkach rozległych dawniej pastwisk pod głównym łańcuchem górskim, porośniętych jałowcami i nędzną trawą, pasą się owce, dostarczające wełny na samodziały, sporządzane na domowych warsztatach. Zapaski kobiet tkane są przeważnie w wąskie paski czarne i czerwone, lub całe czarne, „modre“. Sukmany szyte z brązowego sukna są zdobione wyszyciami na stojących kołnierzach, mankietach i z boków, przy kieszeniach, z czerwonego wełnianego sznurka. Są one coraz

rzadsze i jedynie we wsi Bonkowice częściej się je spotyka, gdyż mieszkańcy tamtejsi biedni mało się stykają z nowemi prądami mody, która już coraz bardziej przedziera się na wieś wypierając stare ubiory.

PIOTR SŁABOŃ.

Kopiec „Popielów“.

Na północ od stacji kolejowej Miechów-Charsznica, w odległości 6-ciu kilometrów leży wioska Tczyca (dawniej „Zderzyca“ — Słow. geograf.). Z południowej strony na skraju wsi, na najwyższem wznie-



Kopiec „Popielów“. Fot. P. Słaboń.

sieniu, w polu należącem do gospodarza Popiela, jest kopiec o obwodzie około 85-ciu metrów, „a przed 30-tu laty wysoki był jak stodoła“ — mówią starzy. Każdy mieszkaniec parafji Tczyckiej zna ten kopiec i od nazwiska właściciela nazywa go „Popielów“. Wiele podań o tem usypisku krąży wśród tutejszego ludu, n. p.:

1) Dawno już bardzo na Polskę napadli nieprzyjaciele. Nasze wojsko postanowiło się cofać, gdyż było bardzo nieliczne. Wódz jednak zachęcił rycerstwo do boju. Wojska zderzyły się w pobliżu wsi. Zwyciężyli Polacy. Rycerstwo wdzięczne wodzowi, że ich uchronił od sromotnej ucieczki, usypało „zelaznemi copkami“ na jego cześć kopiec. Wieś nazwano „Zderzyca“.

2) Na miejscu dzisiejszego kościoła stał inny „nie polskiej wiary“ (prawdopodobnie arjański), ten jednak zburzono i postawiono większy katolicki. Gdy kopano pod niego fundamenty, wydobyto wiele kości

ludzkich. Ksiądz kazał wykopać grób, gdzie je złożono, a jako nagrobek usypano ten kopiec.

3) Najwięcej znane jest następujące podanie. Za dawnych czasów nie grzebano ludzi jak teraz, ale palono ciała i popioły w glinianych „gorkach“, chowano w kopcu i to jest taki „smyntorz“.

To ostatnie zdaje się potwierdzać opowiadanie niektórych gospodarzy, a w szczególności obecnego kościelnego p. Macieja Popiela, który stwierdza, że biorąc stamtąd ziemię pod dom, wykopywał skorupy, oraz kamienie — „bo downi ludzie tys stawiali pómniki“.

Żadnych dokładniejszych zapisków o tem kopcu w aktach tutejszej parafji niema, prócz wzmianki zanotowanej w ostatnich latach w kronice kościoła przez ś. p. ks. Snopka Marcina: „Na wschód od kościoła na samym końcu wsi jest kopiec różnych rozmiarów, dziś już orany*). W nim znajdują urny“.

PIOTR SŁABOŃ.

Św. Jan Nepomucen gniewa się o zanieczyszczone »nowsie«.

Na polach wierzchowskich, na wschód od Wolbromia, w odległości 4 km były i są bagna. Na nich przed wielu laty objawiła się figura św. Jana. Księża z Wolbromia i Poręby chcieli statuę zabrać do kościoła, lecz nie mogli, bo święty znikał, albo stawał się tak ciężki, że niepodobna go było udźwignąć. Nie pomogły nawet modlitwy wiernych. Dopiero gdy przyjechał ksiądz z Tczycy, św. Jan „nie stawiał oporu, bo tam sobie obrał miejsce“. Figurę umieszczono w ołtarzu. Dobrze tam było świętemu, a ludziom we wsi, którzy jednak wkrótce o cudownej figurze zapomnieli. Z czasem odnowiono kościół. Proboszcz kazał św. Jana usunąć z ołtarza. I o dziwo! We wsi mimo suchego lata otworzyły się źródła pod domami, stodołami, a droga była tak bagnista, że o przejechaniu nią nie było mowy. Zboża składano na polu, nawozu z gnojowni nie wywożono. Wtedy przypomniano sobie świętą figurę; wstawiono ją w ołtarz i źródła zginęły, bagna wyschły.

Od tej pory kilkanaście lat był spokój. Dopiero w roku 1927 w Tczycy stało się to samo co przed laty. Wieś stanęła „na wodzie“. Starzy, którzy pamiętają pierwsze błota, przypomnieli sobie św. Jana, a przyczyny nieszczęścia dopatrują się nieco innej niż poprzednio, a mianowicie: Figura św. Jana, prawdopodobnie nie została wstawiona na ołtarz, jak sądzili ludzie, lecz zamieniona na nową, a starą umieszczono nad rzeką w murowanej kapliczce. Ponieważ źródła rzeki zawalono, w jej korycie z wody deszczowej i gnojówki powstały cuchnące kałuże. I one to są przyczyną gniewu św. Jana, który w ten sposób daje znać, że z „nowsia“ trzeba bagna usunąć, bo go to obraża. Czy jednak gospodarze te nieczystości usuną — niewiadomo.

Trudno jest sprawdzić, który „św. Jan“ jest owym legendarnym, bo we wsi są cztery figury: w ołtarzu kościoła, w kapliczce na wsi, figura przy drodze i na strychu kościoła. Ten ostatni wygląda na wygnańca i swoją postacią przypomina wyrób domorosłych rzeźbiarzy, co każe przypuszczać, że dawniej zajmował miejsce w ołtarzu a dziś...

*) Obecnie zabroniono orać kopiec.

Zebrał ST. JEDLIŃSKI (ucz. kursu IV.)

Piosnki z okolicy m. Kielc ze wsi Czarnowa.

Zeńcie się chłopcy, bo to juz po wojnie
Ustepuje Moskol z Polski som ci dobrowolnie.

Cekojcie panienki, jedziemy z wojenki
Pieniązki wieziemy, zenić się bedziemy.

Iskierecka ognia, gałązecka choiny
Cekoj mie dziewcyno, jak powrócę z wojny.

Bedzie wojna, bedzie pod Scekocinami
Któz na nio pojedzie, Kościusko z chłopami.

Kary mój koniku ty mie będzies nosieł
Jak ja będę ludzi na wesele prosieł.
Kary konik kary pieknie osiodłany
Pojade ja na nim do moi kochany.

Nasioła ja rutki na pustym ogrodzie
Uwije wionecek pusce go po wodzie.
Pusce go po wodzie na jedwobnym śnurze
Pójdzie ón pójdzie ku Miedzianej Górze.

Widzioł zem cie widzioł moja panno w polu
Jak ześ wybierała psenickę z kąkolu
Widzioł zem cie widzioł moja panno widzioł
Jak ześ wybierała psenicke na wydzioł.

Mój ty swięty Boze psenicka staniała
Za cóż ja se będę korale sprawiała.

Nie chce tego, nie chce, co po roli depce,
Ale tego wole, co pise przy stole.

Boże mój, Boże mój, któryz to będzie mój
Cy lokoj, cy pisorz, cy som kumwisorz,
Nie chce jo lokoja, nie chce jo pisorza
Będę większą panią wole kumwisorza.

Cóz mi po tej wodzie, co idzie na koła,
Cóz mi po dziewczynie, kiedy nie wesoła.

Jedna jo se jedna, jedna jedynocka
Nie pójdę za pana ino za dworacka.

Siwy gołąbecek w środku dębu siedzioł
Kochoj mię chłopoku, zeby nikt nie wiedzioł
Bo jakby kto wiedzioł, jobym się wstydziea
Ześ mie ty całówoł jo się nie broniea.

Cyjez to wesele, Nogoj ci się zeni
Boi się wojenki, zeby go nie wzieni
Boi się wojenki, boi się i branki
Zeby go nie wzieni od swoi kochanki.

Na zielonej łoce, zgubiłam tysioce
Bo mie odjechało serce kochajoce.

Maleńki kanarek przelecioł Sandomierz
Jo cię chłopce kochom ty się nie rozumies.

Nie uwozoj na to ze jo uboguchna
Będę ci robiła, będę ci miluchna.

Nie wiem ci jo, nie wiem, jak ludziom dogodzić
Cy se mom zaśpiewać, cy tez smutno chodzić.

Moja ty dziewcyno, mój korolu drogi
Przystałaś ty do mnie jak trzewik do nogi.

Jedziecie, jedziecie cóż wy mi wieziecie
Nie słome, nie siano, Antosine wiano.

Spodobała mi się dziewcyna w tonecku
W siwej zapasecce, rucianym wionecku.
Spodobały mi się tej dziewcyny stroje
Będę Boga prosieł, zeby były moje.

Latoł konik, latoł, podkówecke zgubieł,
Jo majątek stracieł, bom dziewcyne lubieł.

Dana moja dana lubie tego pana
Co mo piekne kunie, ładnego furmana.

Ozeńze się ozeń stary kawalerze
Jak się nie ozenis to obrośnies w pierze.

Smutne moje serce, smutne zasmucone
Nie będzie wesołe, bo zbałamucone
Smutne moje serce i dumne i dumne
Kiedyz jo chłopoku o tobie zapumne.

Zakochaliśmy się jak gołąbki w porze
Jak nos kto rozłący to go Pon Bóg skorze.

Zeby się spoleły kieleckie papiery
To by nie słuzeły nase kawalery.

Jedzie mój, jedzie mój, juzem go poznała
Wywijo chustecką, którą zem mu dała
Jedzie muj, jedzie muj jest ci juz na moście
Wiezie mi korale i wstązek piętnoście.

Zagroj mi skrzypecku, bo jo druhienecka
Siegne do kieseni, będzie złotówecka.

Gdzie łącka zielono tam juz posiecono
Gdzie dziewcyna ładno tam juz ozeniono
Gdzie trowka zielono tam jo goski skubio
Która panna ładno to jo chłopcy lubio

Nie mom majątecku i urody mało
Cóz ci się chłopoku u mnie spodobało.

Dziewcyno z Kamieńca nie idźze za niemca
Bo niemiec świargoce, urwie ci warkoce.

Świeci miesiąc, swieci na ćtery ogniwa
Nasym zniwiareckom co idą od zniwa,
Świeci miesiąc świeci na ćtery ogniska
Juz się ozeniеła moja towarzyska,
Świeci miesiąc świeci i gwiazdy jarzące
Ciebie kocho jeden, a mnie dwa tysiące

Ciebie kocho jeden, jesce byle jaki,
A mnie kocho dwa tysiące, same jedynoki.

Z tamtej strony młyna rośnie jarzębina
Tam się chłopcy biją gdzie ładno dziewcyna
Nie bijciesz się chłopcy dla Boga świętego
Bo jo nie dlo wszystkich ino dlo jednego.

Stoi gruska w polu nima na ni grusek
Listecki opadły wierzchołecek usechł
Wierzchołecek usechł, bom go ułamała
Listecki opadły, bom je oberwała.

Wiedziałaś dziewcyno, ześ nie miała woli
Było nie przyjmuwać gorzołecki moi.

Nie smuć się dziewcyno, bo jo się nie smuce
Cały świat objade do ciebie sie wróce
Cały świat objade, wszystkie ćtery strony
Do ciebie się wróce, jak do swoi żony.

Kalina, malina serokiego liścio
Cy mie chłopcy nie chco, cy jo nie mom scęścio.

KAZIMIERZ RUTKOWSKI (ucz. III kursu).

Klasztor zapadły na Cudaku.

W Radoszycach w powiecie koneckim, tuż za miastem wśród pól, wznosi się pagórek na 50 metrów zwany od dawiendawna „Cudakiem“, z którym się wiąże następująca legenda.

Tak dawno, że i najstarsi nie pomną, stał na Cudaku świetny klasztor słynący cudami i cnotą zakonników; to też gromady pątników przybywały tu, prosić Boga o łaskę. Ale z biegiem lat ludzie zapominali często o Bogu, zatracali wiarę ojców, moralność chrześcijańską i stawali się złymi. To też Pan Jezus chcąc ukarać grzesznych, sprawił swą boską mocą, że klasztor się zapadł w ziemię. Wtedy ludzie zrozumieli, że to kara za ich niecne życie, więc postanowili się poprawić: pokutowali, modlili się, pościli, słowem zaczęli żyć z Bogiem. Bóg widząc ich skruchę, ulitował się nad grzesznikami i chciał zapadły klasztor znów wynieść na Cudak, ale się z tem nie bardzo spieszył, bo chciał ludzi wypróbować. Już klasztor się wychylał z ziemi, gdy zaszło nowe nieszczęście. Jakiś chłop orząc czarną rolę, dostał się na wierzchołek Cudaku i zawadził pługiem o coś niezwykle twardego; woły ciągnące pług choć nieme stworzenia poczuły coś cudownego i padły na kolana. Chłop jednak rozgniewany, zaklął pono ciężko. Wtedy zaświstało w powietrzu, ziemia się zatrzęsła, a chłopa ciarki przeszły; coś zahuczało pod ziemią straszliwie i z jękiem zapadło się głęboko. W tej chwili dopiero chłop przypomniał sobie, co ludzie mówili o zapadłym klasztorze na Cudaku i uznał swą winę; padł na kolana, aby przebłagać Stwórcę — ale już było zapóźno; klasztor dalej spoczywa pod ziemią, jak przed wiekami.

JOZEF POSTUŁA (kurs IV).

„Święty Emeryk“.

Przy drodze prowadzącej ze Słupi do św. Krzyża, kilkadziesiąt metrów od lasu, stoi kamienny posąg, przedstawiający klęczącego człowieka, zwróconego twarzą w stronę klasztoru. Jest to bardzo prymitywna rzeźba, nie wiadomo z jakich czasów; teraz bardzo uszkodzona. Lud nazywa ją: „Święty Emeryk“ i opowiada wiele legend o tej zagadkowej postaci. Jedni mówią, że w dawnych wiekach pewien rycerz ślubował Bogu, że zwiedzi siedem bardzo odległych klasztorów i w każdym złoży drogocenne wota. Przy zbliżaniu się do każdego z nich, zdejmował obuwie i na klęczkach wchodził w bramy kościoła. Ostatnim klasztorem, jaki postanowił nawiedzić, był Sw. Krzyż. Już od Słupi szedł na klęczkach, a tłum ludu okolicznego i liczne procesje, towarzyszyły męczeńskiemu pochodowi rycerza.



Św. Emeryk.

Ostre kamienie raniły mu kolana, on jednak szedł wytrwale, zostawiając za sobą krwawe ślady. Tłumy zdziwione i zachwycone jego pobożnością, poczęły szeptać, że dzwony na Św. Krzyżu powinny same uderzyć, na powitanie pielgrzyma. On zaś słysząc to, mimo wielkiej pobożności, w padł w dumę, i rzekł: — „Tak powinny mię same powitać“, — i skamieniał. Bóg w straszny sposób ukarał dumę rycerza.

Lud wierzy, że ten posąg posuwa się co rok ku klasztorowi, o taki kawałek jak ziarnko maku, a gdy wreszcie dojdzie do celu, nastanie koniec świata.

POSTUŁA JÓZEF.

Wola Jachowa.

Wzdłuż drogi, prowadzącej z Kielc na Św. Krzyż, na dwa kilometry przed Bielinami, które także leżą przy tej drodze, ciągnie się duża wieś, Wola Jachowa.

Zasługuje ona z wielu względów na szczególniejszą uwagę. Chałupy jej są bardzo małe z jednem małem oknem od podwórza. Jedynie

nowsze domy mają po dwa okna, lub te starsze, w których później dla wygody wycięto w tylnych ścianach. Okienka te są najczęściej śmiesznie małe, o czterech szybach, lub tylko jednej zazwyczaj kwadratowej, o boku trzy a nawet dwa decymetry długim. Nie dadzą się one otwierać, bo są przybite na stałe, to też wchodząc do takiej chałupy, odczuwa się przedewszystkiem niemiły zaduch, gorąco i duszący brak powietrza. Jedynie wejście od podwórza prowadzi albo bezpośrednio do mieszkania, albo do sieni, w której gospodyni pasie kury w domu, ale już rzadziej. Kilkadziesiąt lat temu był powszechny zwyczaj, że np. w zimie cielęta, a nawet krowy miały wspólne schronisko z ludźmi, a było to nawet w tych wsiach, które obecnie już w znacznej mierze odpowiadają wymaganiom nowoczesnej cywilizacji. Jednak i teraz pospolicie się jeszcze spotyka, że obora, stajnia i chlewy są pod jednym dachem z domem mieszkalnym, a nawóz leży prawie zawsze tuż pod oknem.

W Woli Jachowej są domki, przy których niema nawet jednego owocowego drzewka, ani krzaku agrestu, żadnych zabudowań, tylko trochę nawozu i śmieci pod oknem, a jedynem bogactwem gospodarza, to kilkoro bladych, z krzywemi nogami, najczęściej głodnych i oberwanych dzieci. Są to domy wyrobników, którzy Bóg wie z czego żyją.

A teraz należałoby się przypatrzeć ludziom, żyjącym w tych warunkach, — to nie mazury ani krakowiacy, to przygnębieni biedą, rzadko się śmiejący, — mieszkańcy świętokrzyskich wiosek. Ładne, wesołe i dziarskie typy są tutaj rzadkością, przeważnie wszyscy mają bardzo nieregularne rysy twarzy i niezgrabną budowę ciała.

Jednak wśród młodzieży można zauważyć niejaką różnorodność typów; — natomiast u starszych obserwuje się wielką jednostajność w zewnętrznym wyglądzie. Wszystkie stare kobiety są niemal idealnie do siebie podobne; — zgarbione, ze straszliwie pooraną zmarszczkami twarzą, z niestarannie lub wcale nieuczesanemi kosmykami siwych włosów i czarną, związaną w tyle chustką na głowie, mogłyby służyć znakomicie jako typy czarownic przy ilustrowaniu podań ludowych o Łysej Górze.

Tak samo chłopi, chodzący w lecie tylko w bieliźnie, z wypuszczoną na wierzch koszulą, przepasaną pasem i („lejbikiem“) kamizelką na niej, mają wiecznie nieczesane, ogromne kudłate czupryny, a senność i znużenie w twarzy.

Z fizjognomji tych ludzi, łatwo wyczytać wielkie zmęczenie życiowe, niedostatek, nędzę.

Te właśnie warunki wpłynęły na to, że wszyscy starzy ludzie tworzą tutaj jeden typ, tak pod względem zewnętrznego wyglądu, jak i usposobienia.

A teraz nasuwa się pytanie, dlaczego tak jest? Wystarczy wiedzieć, że Wola Jachowa i inne wsi jak Górno, Radlin, Bieliny, Husa i inne leżą w nieurodzajnej dolinie Łagowskiej, — by zrozumieć dlaczego są tutaj tak trudne warunki życiowe.

Gleba przeważnie piaszczysta lub podmokła, na której nawet żyto nie zawsze się udaje, bo jeśli mokry rok — wymoknie, a jeśli suchy — słońce wypali, w najlepszym razie, gdy zboże wyrośnie na metr

wysoko, gdy gospodarz cieszy się, że już nie będzie przednówka, grad niszczy je i pokładaną w niem nadzieję.

Nic więc dziwnego, że panuje tutaj stale cicha, bardzo z ludem zaprzyjaźniona — bieda.

To gorsze, że na razie jest to stan beznadziejny, niema rady na polepszenie tych stosunków.

Potrzebne jest przedewszystkiem większe uświadomienie mieszkańców, by mogli podnieść poziom rolnictwa, z którego się utrzymują, by zrozumieli, jak duże znaczenie w gospodarstwie mają dobrze prowadzone ogrody owocowe, których dotąd niema tutaj wcale, a mogłyby być. Dotąd jedynie dzikie drzewa stoją wzdłuż drogi i to nawet zrzadka, a tu i ówdzie koło domu dzika grusza, lub jabłoń, dająca nie większe owoce od laskowych orzechów. Niema nawet przemysłu domowego, jak to jest już oddawna w innych wsiach, np. w Łęcznie, Św. Katarzynie, Woli Szczygiełkowej i innych.

Poprostu ludzie w tych wsiach stracili nadzieję polepszenia sobie bytu, godzą się z tem, że jest źle, że muszą żyć w nędzy, że im nawet nadzieja nie przyświeca, bo jest ich przecież z każdym rokiem więcej. a ziemi tyle, ile przedtem. A nie może być przecież mowy o tem, żeby się zajęli handlem, lub przemysłem, lub kupowali nawóz sztuczny, bo na to trzeba pieniędzy, których nie mają. Musiałaby chyba powstać specjalna instytucja, by ich z biedy dźwignąć, ale niestety można tylko marzyć o niej. Niestety nie zmieniły się stosunki, w niektórych zwłaszcza wsiach, od czasu, kiedy Żeromski mieszkał w Ciekotach, w dolinie Wilkowskiej, skąd jak mówi w „Słowie o bandosie“, chłopi musieli wędrować na „bandos“, by za oszczędzone pieniądze może przewegetować zimę, — bo dotąd jeszcze stąd lub owąd idzie ktoś „na roboty“ do Prus, emigruje na stałe do Francji lub Ameryki. Nie wiem, czy żałuje ojczystych stron, bo choć niezwykle piękne, to jednak bardzo dla życia nieprzyjazne.

EDWARD JUSZCZYK (Kurs III).

A gdy ukończą się żniwa...

Skończona praca... skończony znój... Złociste snopy znikły z pola, a ostatnia kropla potu wsiąkła w płowe ściernisko...

Od niepamiętnych czasów we dworze Szczecno w pow. kieleckim, odbywają się corocznie dożynki, zwane przez lud „wyzynkiem“. Na dzień 15. sierpnia w święto Matki Boskiej Zielnej dziewczęta dworskie robią dwa wieńce: jeden z kłosów żyta, drugi z kłosów pszenicy, jęczmienia, owsa i prosa; stroją je w kraśne wstążki i kwiaty, poczem poświęca się je w kościele. Po nabożeństwie cała gromada dworska na czele z przodownicami niosącemi wieńce, podąża przed t. zw. „pałac“, czyli mieszkanie właściciela.

Przed zamkniętą bramą dziewczyny śpiewają:

„Otwirojcie karbowniku te syrokie wrota,
A bo już się ukończyła w polu robota.
Otwórz nam Wielmożny Panie wierzeje, wierzeje,
A bo nom się juz na polu psenicka nie chwieje.

Po każdej zwrotce przygrywa tę samą melodję muzyka wiejska, ubrana po „krakosku".

Cały orszak podąża przez otwartą bramę przed terasę pałacu, gdzie czeka „Wielmożny Pan" z rodziną.

A wtedy dziewczyny „te z wińcami" zaczynają:

Otwórzcie nom pokojówki te okiennice,
Idą z pola, niosą wińce te przodownice.
Wyjechoł nasz wielmożny pon na siwym koniu,
Pokłonił się niziuteńko, nie wimy komu,
Czyli chłopom, czyli snopom, czy spiklirzowi,
Ale pono tym stodołom, co ma pełno w nich.
A ten nasz złocisty winiec ze zboża uwity;
Bo naszego wielmożnego kochają kobity;
Kochają kobity, kochają i panny,
Bo nasz wielmożny jest bardzo ładny.

Na zielonej łące para źrebiąt bryka,
Jedzie starszy panicz z lasu, podkręco wąsika.

U naszego młodszego panicza są białe firanki,
Niema młodszego panicza, poszed do kochanki.

A nasemu panu rządcy dać buty lakiery,
Bo jak idziemy na pole, to klnie na cholery.

A nasemu panu rządcy dać zygarek złoty,
Bo on ta przypilnował w polu roboty.

A nasemu leśnicemu dać wiązke słomy,
Bo nie pilnuje lasu, ino w domu żony.

Nasemu ogrodnikowi dać sklanke herbaty,
Bo un ta wyhodowoł dla państwa kwiaty.

A nasemu karbowemu dać powróseł sześć,
Bo un nom we żniwa nie dał podwieczorku zjeść,

A nasemu kowolowi dać bryłe złota,
Bo un sie nadźwigo ciężkiego młota.

A nasemu Damazemu dać corno kure,
Bo un ta przewrócił ze żytem furę.

A ty nasy gospodyni dać cztery gruszki,
Bo una w karności trzymo pokojówki.

Nasym pokojówkom dać cztery perlice,
Bo chodzo po pokojach, zbijają palice.

U nasego wielmożnego zielony dziedziniec,
Oddejtaż dziewczyny wielmożnemu winiec.

U nasego wielmożnego zielony dziedziniec,
Oddejtaż dziewczyny wielmożnej winiec.

Te dwie zwrotki śpiewają dwie dziewczyny, towarzyszące „przodownicom". Dziewczęta teraz podają wieńce i śpiewają na zakończenie:

A choć my się pomelili, prosze sie nie gniewać,
Bo my sie nie ucyli po szkołach śpiewać...

W serdecznych słowach dziękuje pan dworu zebranym za urządzenie mu tej „kochanej uroczystości dożynków", na zakończenie życzy zebranym wesołej zabawy, którą rozpoczyna sam, biorąc do tańca jedną z przodownic, na to hasło wszyscy łączą się w pary i tańczą na terasie pałacu „jeden kawałek".

Wreszcie muzyka i tańczący opuszczają pałac, rozpoczyna się obdarowywanie: dziewczyny dostają kraśne chustki, fornale papierosy, kiełbasę i wódkę.

Teraz dopiero wre zabawa w jednym z czworaków. Tu muzyka „rżnie“ „oberecki“, „polecki“, a czasem „górola“. Do białego rana słychać wesołe przyśpiewki np.:

Chodziła po lesie borówecki jadła,
Chciała być rumiano jesce gorzy zbladła, hu! ha!

lub: Teńcówołbym, zebym mógł,
Zebym ni mioł krzywych nóg,
Ale krzywe nogi mom
Co podskoce, to sie gnom!

— — — — — — — — — — — — — — — —

...Oj siano, siano, pod sianem woda... grzmi do rana.

POSTUŁA JÓZEF.

Przemysł włókienniczy.

Kilkadziesiąt lat temu było w Świętokrzyskiem znacznie więcej lasów, ziemi nieuprawnej, a więc: pastwisk, starych karczowisk, zarośniętych leszczyną i innemi krzewami, suchych łąk i t. p. Wypasano więc dużo owiec, a z ich wełny sporządzano odzież. Zarówno przed zniesieniem pańszczyzny, jak i potem we wszystkich dworach hodowano trzody owiec, nieraz tysiąc i więcej sztuk liczące. Wełnę z nich odstawiano do fabryk. Trzód strzegli t. zw. owczarze, którzy, według tego, jak starzy ludzie powiadają, byli zazwyczaj znachorami, guślarzami, a nawet czarodziejami, to też w opowiadaniach ludowych są owiani wielką tajemniczością. Teraz nigdzie się nie spotyka tak dużej ilości owiec, jak dawniej; obszerne pastwiska, ugory i inne nieużytki zamieniono powoli na pola uprawne, więc znikła bezpowrotnie postać owczarza, który jednak w podaniach ludowych będzie żył długo a długo, bo one podawane z ust do ust są niemal wieczne.

Lud był dawniej bardzo ubogi; nosił więc wełnianą samodziałową odzież. Chłopi sukmany z bronzowego, lub szarego („siwego“) sukna, kapoty i spodnie z „drelichu“, tkanego także z wełny. Kobiety noszą dotąd zapaski, dawniej zaś t. zw. „sorce“ (rodzaj ciepłych halek). Kilimy do przykrywania łóżek, jak zresztą wszystkie inne materjały, mają bardzo skąpe barwy. Przeważnie w czerwone i czarne, lub granatowe pasy, które w kilimach i „sorcach“ są najczęściej jednakowo szerokie, a natomiast w zapaskach mają różną szerokość. Zazwyczaj biegną one z góry na dół, a natomiast w okolicach między Wierzbnikiem a Iłżą idą w poprzek. Są one jednakowo szerokie, o czarnej i białej barwie. Te zapaski są znacznie dłuższe od czerwonych i czarnych („modrych“) i przypominają prymitywnie skrajane peleryny. Służą one do okrywania ramion zamiast chustek, lub uwiązane w pasie zamiast fartucha.

„Sorce“ nosiły kobiety zwłaszcza w zimie, kładąc na nie jeszcze „kaźmirowe“ spódnice, jaskrawo różowe, lub amarantowe. „Kaźmir“ był to materjał podobny do popeliny, tylko nieco grubszy, teraz już się

go nie spotyka. Po wojnie pojawiły się tu i ówdzie wełniane spódnice, tkane w kratę, lub pasy, ale w ich barwach i rozmieszczeniu widać wyraźny wpływ wyrobów fabrycznych, nie można więc zaliczać tych tkanin do oryginalnych ludowych. Są dwa sposoby tkania samodziałów: zwykły jak przy robocie płótna, i t. zw. „drelich" do wyrobu którego używano krosien o czterech „nicielnicach". Jest to materjał podobny do kortu. Sukno tkano z samej wełny, zazwyczaj czarnej, która po sfalowaniu dawała ładną bronzową barwę, lub z mieszaniny białej z czarną, przez co powstawał kolor szary („siwy"). Falowano je dwojakim sposobem: w faluszach i t. zw. „stepach", które były wtedy niemal w każdym młynie. W odpowiednim dole umieszczano wał sukna, polewano gorącą wodą, a z góry co chwila uderzała w nie duża kłoda, przymocowana odpowiednio pasami do młyńskiego koła, które jej nadawało jednostajny mechaniczny ruch.


Typy z Tarczku. Wzór sukman i zapasek.

Przeważnie część robót tkackich spełniały kobiety. Czasami tylko sukno oddawano do wykonania tkaczowi, lub knopowi, który oprócz tkania umiał także biegle prząść wełnę na kołowrotku. Te dwie postaci także zaginęły. Wprawdzie do niedawna chodził po wsiach bardzo stary „knop", ostatni prawdopodobnie, szukając roboty, ale zapewne już umarł. Używali oni do gremplowania wełny, czyli nadawania jej odpowiedniej puszystości przed przędzeniem, t. zw. „grempli". Były to jakby dwie szczotki, z gęsto umocowanemi drucikami zamiast włosia. Jedne z nich umocowano na stałe tak, aby druciki swemi haczykowatemi zagięciami były zwrócone od gremplującego knopa na zewnątrz, a drugą on trzymał w ręce, uważając, by druciki były do niego zwrócone. Jeśli teraz pocierał jedną o drugą, zahaczały się one lekko, rozprostowywując położoną między nie wełnę. Była to praca o tyle trudna, że wymagała dużej cierpliwości i czasu. Mogły ją jednak wykonywać nawet dzieci. Obecnie gremplarnie wykonują tę pracę znacznie szybciej i lepiej, ale służą teraz częściej do gremplowania waty, niż wełny. Tu i ówdzie spotkać można jeszcze stare gremple. Owce strzygły kobiety, używając dużych, t. zw. „owczarskich" nożyc, składających się z dwu ostrzy, których przedłużenia tworzyły rączkę i sprężynę, odwodzącą obie cześci nożyc. Główną ich zaletą było, że można je ujmować całą ręką, przez co nie odgniatały palców, jak te, które są teraz w powszechnem użyciu.

Przemysł włókienniczy wełniany był najbardziej ożywiony przez ostatnie dziesiątki lat przed wojną. Zaś po wojnie upadł niemal zupełnie, zwłaszcza zaniechano prawie wyrobu sukna. Jedynie tu i ówdzie chłop, przywykły do sukmany — „każe babie“ utkać parę łokci na nową, by jak słusznie powiada — „stary zwyczaj nie zaginął“. „I że to przystojniej gospodarzowi w sukmanie, niż w jakiejś tam krótszej kapocinie“.

Zapewne dużo kłopotu mają z falowaniem, robiąc to w domu, bo już zaginęły owe falusze i „stepy“. Sukmany stają się coraz rzadsze, jedynie zapaski, jako tańsze od sukiennych sukman, są nadal tak powszechne jak dawniej. Natomiast niemal zupełnie znikły owe „sorce“ i kilimy. Zaś płótno lniane „pacześne“ i „zgrzebne“ nadal tkają kobiety, choćby dlatego, by w zimie bezczynnie nie siedzieć. Jednak wiele kobiet woli kupować tańsze i ładniejsze płótno fabryczne.

Wszelkie wyroby z lnu, starych szmat podartych w paski (derki, chodniki i t. p.) najwięcej tkają w Łączny, gdzie istnieje również bardzo ożywiony przemysł drzewny.

HENRYK CEDRO (Kurs III).

Stary Zarząd nas żegna...

Stary Zarząd nas żegna... 11 września — święto pieczenia ziemniaków, ostatni krok ustępującego Zarządu. Hej! Hej! Któż je opisze? chyba pióro w złocistem słońcu, albo w szkarłacie porannych zórz maczane, nie w atramencie, do tego w czarnym, gdyby choć w zielonym, lub w czerwonym! Drogą prowadzącą z Kielc do Dąbrowy pędzimy jak sztafeta olimpijska. Nic dziwnego: wszak mamy w naszych żyłach krew, nie majową deszczówkę. Przed nami widok fantastyczny; głowy nasze toną w aureoli srebrzystej chmury kurzu. Z za kłębiastego obłoku wychyliło promienistą buzię „zacne“ słonko i uśmiechnęło się zalotnie (czy do nas? — nie wiemy). — Hej! — Co chwila wonnem, rzeźkiem powietrzem wstrząsa huraganowa salwa śmiechu, oznajmując światu, iż wśród nas wszechwładnie panuje radość. Po godzinie forsownego marszu dotarliśmy do celu: — była to mała łączka, czołgająca się kornie u stóp pięknego mieszanego lasu, na którego gładkiem czole słotna i smutna jesień piętnuje już ponury stygmat zniszczenia.

— W którem miejscu rozpalamy ognisko? — Tu! na środku łączki! — Już! — Błysk zapałki, — trzask palących się gałęzi i — cała polanka kąpie się w potopie blasków i — dymu. Wielkie ognisko zieje krwawym płomieniem. — Ziemniaki są? — Jeszcze nie! — No-to już! — Zaraz! — i kilku pobiegło po nie, galopując jak gońcy maratońscy. — Są już! są! — grzmią z daleka ich głosy jak surmy bojowe. — Więc pieczemy! Biegniemy do lasu. ...Cisza...

Snujemy się w niezmąconej ciszy, niby cienie po mrocznych niwach elizejskich. Mistyczny czar leśnego świata owiał nas czarodziejskim nastrojem baśni i upajał świeżem tchnieniem natury... Coś się w naszych duszach zbudziło, więc dajemy „temu cosiowi“ ujście i —

piosenka wstrząsnęła aromatyczną atmosferą prastarej puszczy, gromka i rzewna, jak śpiew słowika w majową cichą noc...

„Powiedz-że mi moja miła: za cóż ciebie mama biła?
„Czy za cukier, czy za kawę, czy za honor, czy za sławę?
„Nie za cukier, nie za kawę, nie za honor, nie za sławę,
„Jeno mama za to biła, żem z tobą długo mówiła!“



Święto pieczenia ziemniaków. Fot. Kol. Musiał.

Te tony uderzyły w zwartą ścianę wysokopiennych sosen i z powtarzającem się wielokrotnie echem utonęły w dali...

Tymczasem kilku krajoznawców i P. Profesorka oglądali w Dąbrowie 110-letni dom i toki — beczki wydrążone w pniu. Właściciel tego domu p. Kumor chciał nastraszyć nas, mężnych potomków bohaterskich przodków i pokazał nam wspaniałego buhaja „Waćpana“. Ten skinąwszy głową na powitanie, dumny, nie „raczył“ z nami rozmawiać i tocząc złowrogo krwawemi oczyma powrócił do swych „apartamentów“.

Chwila była przedwieczorna... Ciemno-szmaragdowy djadem szumiących borów Dąbrowskich płonął purpurowem światłem od ogromnego wrześniowego słońca. Powróciwszy do ogniska rzucamy się na ziemniaki, jak krajoznawca na bardzo rzadki okaz mineralny lub etnograficzny. Hej! Hej! Raduj się królewskie słońce, my jemy pieczone ziemniaki. Tymczasem wspaniałe słońce zamiast radować się, konało... i przesyłało nam złocistemi promieńmi pocałunki.

Ziemniaki już znikły w przepastnych głębinach naszych żołądków. Nad umierającem ogniskiem unosi się kosmaty, zwichrzony pióropusz dymu, który płowym czubem zdaje się sięgać srebrnych ocząt skromnych gwiazdeczek. — Od pola lotny wietrzyk przynosi przeciągłe: — hee! ana! krasula! — Jedziemy już! Powstał nieopisany gwar: na nieszczęsny wóz wsiadł tłum: gdzie się kto uchwycił, za luśnię, kłonicę, drabiny, rozworę, stali nawet na mutrach. Widocznie była w tem opatrzność, że wóz nie połamał się na miejscu i dzięki p. Kumorowi, który jako rolnik postępowy miał taki mocarny wóz. Ale wyczerpała się przecież jego cierpliwość i — drabina pękła. Huraganowym ogniem zagrała ciężka artylerja biadań i narzekań. Gdy wóz jako tako ściągnięto łańcuchem, kochani nasi pp. Opiekunowie wraz z kilkoma wybrańcami lasu odjechali; reszta zaś musiała iść; iść nocą coprawda piękną i pogodną, jasną od księżyca, który wąskim sierpem wypłynął na niebo, nie należy do wielkich przyjemności.

Złamana tarcza księżyca płynęła spokojnie po milczącej toni nocnego nieba, jak srebrnopióry łabędź, nurzając się niekiedy w śnieżnych obłoczkach jakby dla ochłody. Granatowe niebo upstrzone zawrotnym rojem seledynowych gwiazd, wielką arkadą otaczało nas...

P. SŁ.

Echa ze Zjazdu krakowskiego.

Recepta na gorączkę.

Gdzie schronisko? — słychać pytanie na schodach „baszty Złodziejskiej“. — Tu — odpowiada jakiś głos. — Ależ ja tu spać nie będę, nie wygodnie. — To trudno brzmi odpowiedź. — O co tam chodzi? — wołają delegaci doskonale rozlokowani na pryczach. Wtem wszedł do nich pan „wypomadowany“ ze słowami: — Ja tu dopiero wszedłem i już gorączkuję. — Ach! czy naprawdę pan cierpi — pyta go z czułością „opalony“. — O jakże można wątpić — biadał chory.

W oczach „opalonego“ błysły łzy... a potem rzekł. — Ponieważ znam się trochę na medycynie, pozwoli pan, że przepiszę mu niezawodny środek na gorączkę.

— Proszę bardzo — kłaniając się rzekł „wypomadowany“

Nasz lekarz siadł na posłaniu i pisał, a jego przyjaciel odczytywał głośno. — Zażyje pan jedną dawkę za 5 złotych lodów krakowskich, przepijając miejscową lemoniadą. Przed i po wywołaniu przewidzianego przez lekarstwo skutku, nawet na schody schroniska wstęp panu wzbroniony.

Przepisane lekarstwo było skuteczne, bo „wypomadowany“ nie zjawił się na obradach.

Gorliwy sekretarz.

Wieczorem pewnego dnia Zjazdu słychać z górnych i dolnych prycz dyskusję na temat pracy Kół Krajoznawczych. Jeden „z góry“ udowadniał, że sprawna praca w Kole zależy od gorliwości zarządu. Ja też jestem tego samego zdania — przerywa drugi „z dołu“, ale

żeby być w porządku, dużo nie gadać, ale robić, już napisałem naprzód dziewięć protokółów z zebrań ogólnych i jednego walnego sprawozdawczego.

Fotograf.

Po powrocie z obrad zauważyłem, że nasz aparat fotograficzny, powierzony mojej opiece, zginął. Wyszedłem z „baszty Złodziejskiej“ zmartwiony, zdecydowany skoczyć do Wisły, lecz o dziwo! Aparat stoi na środku dziedzińca na Wawelu i jakiś fotograf stara się go nastawić, aby zdjąć grupkę pięknych krajoznawczyń. Chciałem biedakowi pomóc, ale jego asystent powstrzymał mnie. Za chwilę zdjęcia dokonano.

Fotograf z wyszukaną grzecznością podszedł do grupki krajoznawczyń, zapoznał się z niemi, prosił o adresy, przyrzekł przysłać odbitkę, podziękował, a zobaczywszy mnie zniknął.

Jakież było moje zdziwienie, gdy wieczorem zastałem aparat na miejscu i kartkę ze słowami:

— Pozwoliłem sobie pożyczyć aparatu, sądząc, że uzyskam przebaczenie, gdy doniosę koledze, że miałem nadzwyczajną chęć mieć kilka zdjęć ze Zjazdu. Zrobiłem siedem zdjęć grup delegatek z różnych okolic Polski — na pustą kasetkę, (rzeczą kolegi jest wywołać). Zebrałem kilkadziesiąt adresów delegatek, z czego bez uszczerbku dla siebie odstępuję koledze 22.

Za jeden (adres) wszystko darowałem mu.

Ze względu na p. Węgrzynowicza.

Dlaczego pani głosowała, aby przyszły zjazd odbył się w Poznaniu, a nie w Krakowie? — pytał przy pożegnaniu delegat z Wileńszczyzny, delegatki z nad Wisłoka.

Bo w Krakowie już podobno wszystkie pobliskie prochownie wyleciały w powietrze, trudno więc byłoby kochanemu prezesowi p. Węgrzynowiczowi zamówić dla nas godny wiwat — odpowiedziała delegatka

---

Z życia organizacji krajoznawczej.

Koło Historyczno-Krajoznawcze im. St. Staszica przy Państw. Semin. Naucz. męskim w Kielcach. Staraniem Opiekuna Koła p. Hubickiej rozpoczęła się praca w Kole z początkiem roku szkolnego 1926/27. Na walnem zebraniu powołano nowy zarząd, w skład którego weszli jako prezes Słaboń Piotr, zastępca Kumor Łukasz, sekretarz Gałczyński Maksymiljan, zastępca Masłowski Stanisław, skarbnik Musiał Tadeusz, bibljotekarz Król Bronisław. Od półrocza zrzekli się swych funkcji sekretarz i bibljotekarz. Na sekretarza powołano Klimczyka Stefana, na bibljotekarza Myśliwca Jana. Koło nasze liczyło w ciągu roku 89 członków. Każdy kurs stanowi osobną sekcję. Składka miesięczna wynosi 20 gr. Biedniejszych zarząd zwolnił od opłaty.

W ciągu roku odbyło się 10 zebrań zarządu i 9 ogólnych, po jednem zebraniu informacyjnem w każdej sekcji. Wygłoszono 13 odczytów treści przeważnie historycznej i krajoznawczej, z tych 10 z przeźroczami. Urządzono obchód rocznicy powstania listopadowego. Zebrano artykuły do wypełnienia jednego numeru „Orlego Lotu“. Zapoczątkowano gromadzenie zbiorów, na które za pieniądze Koła kupiono szafę z trzech stron oszkloną. Zebrano 68 okazów etnograficzno-geologicznych i archeologicznych. Kupiono stukartkowy zielnik na okazy roślin „Gór

Swiętokrzyskich“ (liczby okazów nie podajemy, gdyż z każdym dniem ilość ich wzrasta). Zrobiono dwa albumy na widokówki krajoznawcze, jest ich 55 oraz fotografje wykonane przez naszych członków w liczbie 45. Wydano wszystkim legitymacje.

Dzięki p. Opiekunce, która ofiarowała Kołu aparat 9 × 12, ukończyło kurs fotograficzny 5 członków. Kurs przewodników po Kielcach i Górach Świętokrzyskich, których Koło obecnie liczy 11 z tego 8 nowych. Ci ostatni oprowadzili po Kielcach i okolicy w maju i czerwcu b. r. cztery wycieczki: Gimn. męskie z Warszawy, Szkoła powszechna z Chmielnika, Sem. żeńskie z Wołkowyska, Gimnazjum żeńskie ze Skierniewic.

Zorganizowano trzy jednodniowe wycieczki do Kielc, Siedmiu źródeł i Huty Szklanej. Prenumerowano w ubiegłym roku „Tygodnik Ilustrowany“, „Ziemię“ i „Orli Lot“.



Fot. Massalski.

Zbiory Koła w Kielcach.

Dochody czerpano z odczytów i składek miesięcznych. Urządzono jednorazowo składkę na kupno szafy po 1 zł. od członka. Tow. Krajoznawcze w Kielcach kwotą 25 złotych umożliwiło wyjazd Prezesa Koła na zjazd do Krakowa, w którym wzięło udział prócz niego 8 delegatów pod opieką p. Hubickiej. Do kasy Koła wpłynęło. 394 złotych. Na potrzeby wydano 381 złotych 90 groszy. Pozostało 12 zł. 10 gr.

Koło Krajoznawcze w Działdowie. W Seminarjum Naucz. w Działdowie powstało Koło Młodzieży im. Emilji Sukertowej. Opiekunem Koła jest dyrektor seminarjum p. Józef Biedrawa.

Koło Krajoznawcze w Kutnie. W dniu 15 września odbyło się w gimnazjum żeńskiem B. Jelskiej w Kutnie zebranie organizacyjne uczennic tegoż zakładu, na którem postanowiono jednogłośnie założyć Koło krajoznawcze, oparte na regulaminie Kółek krajoznawczych młodzieży.

Do zarządu weszły z wyboru przez tajne głosowanie następujące uczennice: J. Mellerowa jako prezeska, J. Majcharzakówna jako sekretarka, H. Smoleńska jako skarbniczka. Opiekunem Kółka jest profesor Mieczysław Burka, sekretarz miejscowego Oddziału Koła Krajoznawczego.

Notatki krajoznawcze.

„Dziennik Podlaski“ ogłasza następującą odezwę: Każde prawie miasto zagranicą posiada mniejsze lub większe muzeum miejscowe, które jest zwierciadłem kultury i duszy mieszkańców danej okolicy. W Polsce zaledwie kilkanaście miast prowincjonalnych posiada takie muzea. Powstały one w większości ofiarną pracą jednostek, często nawet niezamożnych jak naprzykład Muzeum Ziemi Łowickiej

dzięki niezmordowanej i bezinteresownej pracy ś. p. Wł. Tarczyńskiego oraz Muzeum Kurpiowskie dzięki pracy posła Chętnika.

Dowodzi to, iż nie chodzi tu o posiadanie większych funduszów lecz o ułożenie pewnego planu i konsekwentne jego przeprowadzenie. Obecnie, gdy ginie u nas strój ludowy, ginie dawne budownictwo, narzędzia i sprzęty, zatraca się dawne zwyczaje i obyczaje, zapomina się dawne pieśni i przysłowia, obowiązkiem naszym jest pozostawienie przyszłym pokoleniom obrazu Polski dzisiejszej, a nawet wczorajszej co też uczynimy tworząc Muzeum Ziemi Podlaskiej.

Podstawą Muzeum Ziemi Podlaskiej musi być dział krajoznawczy, gdyż piękno Podlasia i jego styl są znane.

Zapoczątkowanie takiego Muzeum nie wymaga nawet wielkich funduszów tylko inicjatywy i pracy. Wciągnijmy i zainteresujmy niemi przedewszystkiem młodzież szkolną, wiejską i rzemieślniczą. Wśród naszej młodzieży znajdziemy masę utalentowanych jednostek, tylko potrafmy je wykorzystać i nimi pokierować.

Niech jedna jakaś szkoła lub organizacja młodzieży wykona mały model typowego obejścia gospodarskiego w danej miejscowości. Chłopcy zbudują chałupę i gospodarskie budynki, dziewczęta zrobią lalki w strojach ludowych i urządzą wnętrze izby i t. d. Inni znów przedstawią wesele lub dożynki, zbiorą do tego wszystkie miejscowe śpiewki, przysłowia, gadki i zwyczaje.

Inni, miejscowy przemysł rolny: a więc model młyna, smolarni, gonciarni i t. d. Znajdą się zapewne i tacy co wykonają modele krzyży i kapliczek, a może i miejscowego kościółka. A zrobienie w zmniejszeniu mapy plastycznej miasta, wioski lub gminy a nawet i całego powiatu czyż nie jest ciekawym tematem do pracy.

Pracę taką należy uzupełnić tekstem objaśniającym, w razie możności ilustrowanym rysunkami. I niechby każda gmina dała jeden taki model, to już Muzeum Ziemi Podlaskiej miałoby przed sobą mocny fundament. Niedługo już zaczną się roztopy jesienne, potem przyjdą zimowe wieczory — czasu do roboty moc.

I lepiej będzie, gdy młodzież zajmie się tą pracą z pożytkiem dla kraju i siebie, zaś poznawszy bliżej swą Ojczyznę, będzie mocniej i goręcej ją kochać, zamiast tracić czas bezużytecznie, lub nawet często szkodliwie. Napewno znajdą się wśród młodzieży chętne jednostki do pracy, lecz niech i inteligencja nasza jej dopomoże, udzielając potrzebnych wskazówek.

Zaczątek Muzeum Ziemi Podlaskiej imienia Dyrektora Asłanowicza istnieje już od pewnego czasu w Siedlcach.

Redakcja „Dziennika Podlaskiego“ chcąc poprzeć usiłowania społeczeństwa w zorganizowaniu Muzeum Ziemi Podlaskiej, ogłasza konkurs na wykonanie modeli z zakresu budownictwa, zabytków i strojów Ziemi Podlaskiej. Za najlepiej wykonane modele Redakcja „Dziennika Podlaskiego“ przeznacza 3 cenne honorowe nagrody. Termin nadsyłania modeli pod adresem Redakcji upływa z dniem 1 marca 1928 r. Regulamin konkursu oraz skład sądu konkursowego będzie ogłoszony niebawem.

Jednocześnie Redakcja będzie umieszczała artykuły, poświęcone wykonaniu powyższych modeli pióra znawców i specjalistów. O wszystkich projektach przyprzystąpienia do pracy konkursowej, prosimy komunikować Redakcji w celu nawiązania bliższego kontaktu.

Szkoły, organizacje młodzieży lub pojedyncze jednostki, chcące wziąć udział w konkursie, powinny nadesłać zgłoszenie do Redakcji do dnia 1 listopada b. r.

Ogród przyrodniczy. Z zeszytu Nr. 3. Muzeum dowiadujemy się, iż w Zamościu został założony jeszcze w r. 1919 przy państw. gimnazjum, mały ogródek botaniczny, który stopniowo od lat paru przekształcił się w $1^1/_2$ morgowy ogród przyrodniczy, będący jeszcze w stadjum rozwoju, lecz posiadający już pokaźną liczbę roślin oraz zwierząt krajowych w odpowiednich pomieszczeniach, o ile tylko warunki pozwalają, w możliwie naturalnych środowiskach.

Mapa rozsiedlenia ryb w wodach Polskich. Dr. Franciszek Staff, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, wydał za pośrednictwem Polskiego Przyrodniczego Tow. Pedagogicznego odezwę zachęcającą do zbierania materjałów dla opracowania wspomnianej mapy. Odezwa podaje wskazówki do zbierania, konserwowania i przesyłania ryb dla celów naukowych, nadto zapowiada publikację przewodnika dla oznaczania gatunków ryb polskich. Materjały należy przesyłać pod adresem: „Zakład Ichtiobjologji i Rybactwa, Szk. Gł. Gospod. Wiejsk. Warszawa, Miodowa 23“, gdzie można otrzymać dalsze wskazówki.

W zeszycie Nr. 7—8 „Życie Włocławka i okolicy" czytamy: Koło uczniów Szkoły Handlowej przewędrowało poprzez cały niemal szlak naszego wybrzeża morskiego od Gdyni aż po graniczną rzeczkę Piaśnicę. Wycieczka trwała dni dwanaście, dało młodzieży zrozumienie znaczenia morza dla Polski, a w sercach uczestników wznieciła szczere umiłowanie naszego Bałtyku. Koło uczniów Gimn. Ziemi kujawskiej pod przewodem swego prof. Lidwina zwiedziło podniebną krainę Tatr polskich i czeskich oraz spory szmat cudnego Podkarpacia. Nic tak nie kształci młodego człowieka i nie rozwija jak krajoznawcze wycieczki. I nie masz po nad nie głębszej zdrowszej i czystszej krynicy szlachetnych wrażeń, podniosłych uczuć i dobrych wspomnień na całe życie. Organizatorom wycieczki przeto cześć!

Do Kółka Przyrodniczego VII gimn. w Krakowie. W odpowiedzi na artykuł. Z zeszytu Nr. 6 „Orlego Lotu" na str. 125, dowiedziałem się o waszym „pomyśle" sporządzenia mapy rezerwatów dla różnych pomników przyrody (zarówno istniejących, jak i ich najbliższą przyszłość projektowanych). Konstrukcja tej mapy ma polegać na „naklejeniu figur geometrycznych o barwach dla różnych pomników przyrody (inne dla cisów, inne dla limb, inne dla głazów narzutowych i t. p.) o powierzchni odpowiadającej rozmiarom rzeczywistych rezerwatów".

Sprawa wydaje mi się bardzo interesującą i przy poważnem wykonaniu naprawdę cenną. Oczywiście nie znając źródeł i materjałów, jakiemi dysponujecie, trudno mi — mimo Waszej zachęty — dyskutować.

Z tego, co piszecie zrozumiałem Was, iż macie zamiar wprowadzać na obszarze mapy Rzeczypospolitej, sprowadzone do podziałki mapy, powierzchnie „rezerwatów", przyczem kolor danej powierzchni stanowić będzie o rodzaju rezerwatów.

Pomysł bezsprzecznie słuszny, bo dawałby rzeczywisty wymiar i prawdziwy kształt rezerwatów oraz zgodne umiejscowienie tychże, lecz w wykonaniu jest bardzo trudny, wymaga bowiem użycia dużej ilości map szczegółowych o wielkiej podziałce (n. p. 1:75.000 lub 1:200.000), by móc wyznaczone na nich obszary i rodzaje rezerwatów wprowadzać na mapę rezerwatów Rzeczplitej o mniejszej podziałce (n. p. 1:750.000), przyczem wyłaniają się duże trudności dla kartograficznego rozwiązania problemu ważne, a mianowicie: 1. jak zaznaczać obszary małych rozmiarów (a te przeważają między rezerwatami wogóle) i 2. w jaki sposób zapełnić próżną (z powodu, bardzo małe obszary zajmujących, rezerwatów) mapę Rzplitej.

Istnieje cały szereg innych trudności, które, o ile praca ma być poważną, trzeba będzie wziąć pod uwagę, o których dzisiaj jednak rozpisywać się nie mogę. Według mnie bardziej celowem byłoby dla kartograficznego zobrazowania powyższego problemu, użycie umiejętnie dobranych sygnatur. *Rom.*

Sprostowanie.

W sprawozdaniu ze Zjazdu Kół Młodzieży mylnie podano, iż ja mówiłam, jakoby Koło nasze wydawało pisemko, mówiłam natomiast, że drukuje swoje artykuły w piśmie szkolnem. (Pismo wydawane jest w szkole nie przez nasze Koło). Również nieściśle przedstawiono sprawę pożyczek: Koło udziela pożyczki niezamożnym członkiniom w czasie ich pobytu w seminarjum, po ukończeniu szkoły członkinie pożyczki spłacają w ciągu lat kilku. *J. Grzymkowska.*

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 40 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 80 gr., bez przesyłki 35 gr. wzgl. 70 gr. Przedpłata roczna 4·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor nacz. i odpow.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków I., Krowoderska 74, II p
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41
pod zarządem Michała Baranowskiego.